





Jan Mazurek

**Franz**

**44 sceny z życia Franciszka Smudy**



## SPIS TREŚCI

|                                |     |
|--------------------------------|-----|
| <b>Wstęp</b>                   | 9   |
| <b>Lincz</b>                   | 13  |
| <b>Obieżyświat z PGR-u</b>     | 17  |
| <b>Sekta</b>                   | 23  |
| <b>Fjanek Szczęśliwka</b>      | 31  |
| <b>Polskie getto</b>           | 39  |
| <b>Gdy Diabeł ma kaca</b>      | 47  |
| <b>Szóstka w totka</b>         | 51  |
| <b>Deyna na łyżeczce</b>       | 57  |
| <b>The Best</b>                | 63  |
| <b>Sznur Miodońskiego</b>      | 71  |
| <b>Gastarbeiter</b>            | 77  |
| <b>Między Pumą a Adidasem</b>  | 83  |
| <b>Turecki pistolet</b>        | 89  |
| <b>Tapeciarz</b>               | 97  |
| <b>Dziki innowator</b>         | 101 |
| <b>Wpuszczony w maliny</b>     | 109 |
| <b>Wasz trenera</b>            | 115 |
| <b>Żeby śpiewali Smuda</b>     | 129 |
| <b>Mister Champions League</b> | 141 |

|  |     |
|--|-----|
| <b>Sukces na sekundy</b>               | 153 |
| <b>Na garnuszku u Cupiała</b>          | 169 |
| <b>Mesjasz</b>                         | 181 |
| <b>Krakowski spleen</b>                | 195 |
| <b>Pani Doktor</b>                     | 207 |
| <b>Kulką w głowę</b>                   | 211 |
| <b>Na pogrzebie</b>                    | 219 |
| <b>Na stypie</b>                       | 227 |
| <b>Papa Bianco</b>                     | 233 |
| <b>Strachorespekt</b>                  | 241 |
| <b>Książę Lewandowski</b>              | 249 |
| <b>Telefon od Kaczyńskiego</b>         | 255 |
| <b>Mistrzostwo, którego nie było</b>   | 265 |
| <b>Imię jego czterdzieści i cztery</b> | 271 |
| <b>Armageddon</b>                      | 275 |
| <b>Reprezentacja z Biedronki</b>       | 287 |
| <b>Udawać Greka</b>                    | 289 |
| <b>Człowiek o innej twarzy</b>         | 295 |
| <b>Król Lewandowski</b>                | 303 |
| <b>Mimo wszystko</b>                   | 311 |
| <b>Bez butów</b>                       | 313 |
| <b>Smuda do kwadratu</b>               | 319 |
| <b>Harakiri</b>                        | 327 |
| <b>Stukot rury</b>                     | 331 |
| <b>Miłość</b>                          | 339 |
| <br>                                   |     |
| <b>Przypisy</b>                        | 345 |

*I've loved, I've laughed and cried  
I've had my fill, my share of losing  
And now, as tears subside, I find it all so amusing  
To think I did all that  
And may I say, not in a shy way  
Oh, no, oh, no, not me, I did it my way  
My Way, Frank Sinatra*

*Kochałem, śmiałem się i płakałem  
Przeżyłem swoje, zaznałem porażek  
A teraz, gdy łzy już wyschły, zdumiewa mnie  
Że naprawdę przez to przeszedłem  
I bez fałszywej skromności mogę powiedzieć  
Że zrobiłem to po swojemu  
tłumaczenie własne autora*



## WSTĘP

– Na emigracji? Prawie piętnaście lat? – nie dowierzał Kazimierz Kmiecik, legenda Wisły Kraków.

Siedzieliśmy przy cmentarzu Rakowickim. Rozmawialiśmy o Franciszku Smudzie, któremu osiem miesięcy wcześniej z posępną miną, w garniturze, przepasany białoczerwoną szarfą towarzyszył w ostatniej drodze. Zaprzyjaźnili się w 1975 roku. Jeden grał w Wiśle, drugi w Legii, mieli wspólnych znajomych, widywali się po meczach.

Smuda wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, przeniósł się do RFN-u, zahaczył o Turcję i w połowie lat 90. wrócił do Polski. W tym czasie kontakt im się urwał. Kmiecik tej przerwy w ogóle nie zapamiętał. Ponownie spotkali się dopiero po 20 latach – Franz został trenerem Wisły, „Badyl” jego asystentem.

- Skąd taka wyrwa w pamięci?
- Musiałem nigdy się nad tym nie zastanawiać.
- Przyjaciel zniknął na dwie dekady...
- Franek w życiu ludzi pojawiał się, zniknął i znowu się pojawiał.

Dzień później odwiedziłem dom rodzinny Smudy w Lubomi. Krystyna i Urszula, jego dwie młodsze siostry,

przeżywały jeszcze kolejne odcinki serialu dokumentalnego Canal+ o słynnym bracie. Wracały zatarte wspomnienia, rozgrywały się dawne spotkania, śmiech mieszał się ze łzami.

– Pan wie więcej od nas – żartowały, prezentując pamiątkową tablicę z otwarcia łoża imienia Franciszka Smudy na stadionie Widzewa.

Czułem się z tym nieswojo, nawet głupio. Przecież praktycznie go nie znałem, tyle że kiedyś przedstawiłem mu się przed treningiem Wieczystej Kraków i jakieś dwa razy skinęliśmy sobie głową na stadionach Ekstraklasy. Ale zauważyłem, że w rywalizacji na akademicką, chronologiczną wiedzę o meandrach jego burzliwego życiorysu zacząłem mieć przewagę nad ludźmi, którzy go kochali, przyjaźnili się z nim albo grali u niego w piłkę.

Przeprowadziłem z nimi blisko 70 wywiadów. Dla niemal wszystkich nie był jakimś abstrakcyjnym zjawiskiem socjologicznym. Był człowiekiem z krwi i kości. Takim, któremu zdarzało się kłamać i zmyślać. Coś podkoloryzować, coś przemilczeć. Czegoś zwyczajnie nie pamiętać. Między rozmowami godzinami oglądałem więc mecze i programy sprzed lat, przesiadywałem w bibliotecznych archiwach, przeczesywałem roczniki gazet, żeby jak najdokładniej odtworzyć życie Smudy.

Franz żył za dwóch, zjeździł pół świata, tysiące ludzi zjednał i z setkami się skłócił. Nie chciałem ulec mitom, przez lata uznawanym za jedyny obowiązujący środek do relacjonowania jego losów. Te mity sprowadzały go do głupkowatego bohatera anegdot spod znaku językowych lapsusów i szatniowego kombatantstwa. Wiedziałem oczywiście, że odżegnywanie się od dykteryjek w wypadku prawdopodobnie najbarwniejszej postaci polskiego futbolu na początku XXI wieku byłoby niewybaczalnym błędem, ale

gdybym skupił uwagę tylko na nich, umknąłby głębszy sens tej historii.

Jak to się stało, że prosty chłopak, bez matury czy choćby zawodowego wykształcenia, zaprzyjaźnił się z Kazimierzem Deyną, palił marihuanę z Pelém, odnalazł się na imprezach Hollywood z George'em Bestem i poradził sobie z myślami o samobójstwie po utracie 200 tysięcy dolarów? Jak trener-ski naturszczyk bez licencji i papierów zdobył trzy mistrzostwa Polski, wprowadził bankrutujący klub do Ligi Mistrzów, pomógł wdrzeć się na salony Robertowi Lewandowskiemu i dostał zadanie przygotowania drużyny do mistrzostw Europy, które odbywały się w Polsce?

Czy to było tylko szczęście?

Czy talent do szczęścia?

Oto 44 sceny z życia Franciszka Smudy, 44. selekcjonera w historii reprezentacji Polski. Trochę więc jak z III części *Dziadów* wieszczka Mickiewicza: „a imię jego czterdzieści i cztery...”.



## LINCZ

Franciszek Smuda wzniósł oczy ku Bogu. Z dłońmi na policzkach przypominał postać z obrazu *Krzyk* Muncha. Małgorzata Drewniak-Smuda, jego żona, wróciła do domu, włączyła telewizję i już wiedziała, że Polacy nie wybaczą mu przegranego Euro 2012.

W erze Hiszpanów i ich tiki-taki, Włochów i prężącego muskuły Mario Balotello, Portugalczyków z posągowym Cristiano Ronaldo, nawet Niemców z „naszymi chłopakami” -Lukasem Podolskim i Miroslavem Klose – nie mogliśmy wygrać. Nie z tą naszą atmosferą przężności: *Koko Euro spoko* Jarzębiny, prezesem Grzegorzem Latą robiącym setkę w trzy sekundy, minister sportu Joanną Muchą, stadionową diwą Natalią Siwiec, reklamą Biedronki z Adamiakową, oddającymi ducha tych dni skeczami Marcina Dańca z intonowanym między jednym a drugim żartem okrzykiem „Polska, Polska!”, trzecią najpopularniejszą przyśpiewką polskich stadionów po *Jebać PZPN* i *Polacy, nic się nie stało*.

Gdy jednak przed Euro 2012 wybudowaliśmy stadiony, hotele i autostrady, przyciągnęliśmy Europę na bliżej niż kiedykolwiek wcześniej od traktatu ateńskiego i wyjście z grupy stało się obowiązkiem. Apetyt rozbudziły bohaterskie

wejście Przemysława Tytonia, który obronił rzut karny na wagę remisu z Grecją, i gol Jakuba Błaszczykowskiego z cieżącą nas przez setki lat Rosją. Aż tu 0:1 z Czechami – i klęska, i rozpacz, i upadek, i narodowa żaloba.

Winy numer jeden i wróg publiczny: selekcjoner Smuda.

„Nieudacznik” to najlżejsze określenie, jakie się do niego przykleiło.

– Dziękujemy, dziękujemy! – skandowało kilkudziesięciu żarliwców pod hotelem Hyatt w Warszawie, kiedy przed trzecią w nocy z autokaru wysiedli polscy piłkarze, wracający na tarczy z Wrocławia.

Na popołudnie zaplanowano oficjalne spotkanie Biało-Czerwonych z rozczarowanym tłumem w stołecznej Strefie Kibica. Reprezentację na placu Defilad przywitała Hanna Gronkiewicz-Waltz, prezydent miasta. 20 tysięcy zgromadzonych okrągłymi słowami przepaszali Jakub Błaszczykowski i Robert Lewandowski.

Brakowało Smudy.

Dariusz Dudka, jeden z reprezentantów Polski: – Dlaczego ktoś w ogóle zorganizował takie wydarzenie? Totalna porażka dla Polski i PZPN-u. Kibice fantastycznie się zachowali, jeszcze nas wspierali. Śpiewali, że nic się nie stało. Nie powinni, bo nie umieliśmy nawet zagrać całego dobrego meczu, tylko połówki. Nie zasłużyliśmy na podziękowania.

– Dlaczego nie pojawił się Smuda?

– Przed wyjazdem pod Pałac Kultury byliśmy w pokoju trenera z Błaszczykowskim i Wasilewskim, czyli grupą trzymającą władzę. Smuda nie chciał wyjść do kibiców. Był załamany. Zdruzgotany. Mówiliśmy, że wszyscy czekają na niego na dole. On tylko: „Nie pojedę. Nie dam rady”.

– Bał się?

– Bał.

– Czego?

– Linczu.

Rok później pisarz Janusz Głowacki w *Przyszłym, czyli jak pisałem scenariusz o Lechu Wałęsie dla Andrzeja Wajdy* tak ujął najgłębsze zakamarki polskiej duszy: „Bo coś takiego jest nad Wisłą, że bardzo lubimy kogoś podrzucać do góry, a potem upuścić i wdeptać w ziemię, ale po ludzku, tak żeby włosy wystawały”<sup>1</sup>.



## **OBIEŻYŚWIAT Z PGR-U**

– Będę mieszkał wszędzie i nigdzie – powiedział Smuda po nominacji na selekcjonera reprezentacji Polski.

Urodził się 22 czerwca 1948 roku w Lubomi, na Śląsku, niedaleko granicy z Czechami. Podczas II wojny światowej wieś zajęli Niemcy. Naziści z H-Sonderkommando zbierali tu informacje o starogermańskich mitach, gusłach, wierzeniach, diablach i czarach. Sięgali aż do 1667 roku – wtedy w procesie wiedźm w Raciborzu na stosie spłonęły wieśniaczki gromadzące się podobno na dzikich orgiach w noc Walpurgii. Duża część z nich pochodziła właśnie z Lubomi.

Fanatycy III Rzeszy na rozkaz Himmlera zagłębiali się w badaniach nad czystością rasy aryjskiej, a jednocześnie zmuszali Ślązaków do podpisywania volkslist i posyłali ich na front w mundurach Wehrmachtu. Taki los na początku wojny spotkał 17-letniego Gerharda Smudę, ojca Franciszka. Był działonowym, czerwone maki pod Monte Cassino oglądał po stronie Niemców. Przy pierwszej okazji uciekł i wstąpił do armii generała Andersa.

Krystyna Smuda, młodsza siostra Franciszka: – Na jego oczach kula wybuchła w niewłaściwą stronę. Widział kolegę z rozprutym brzuchem, krwawiącego ze wszystkich

otworów, trzymającego w rękach flaki, błagającego: „Pomóż mi, pomóż mi”. A jak tu pomóc? Dlatego w domu o wojnie nie mówił. Wspominał, że Anders zarządził: „Na prawo ci, co do Polski. Na lewo ci, co do Anglii”. Poszedł na prawo. Dlatego jesteśmy w Polsce.

Urszula Smuda, młodsza siostra: – Trochę żartowaliśmy: „Tato, trzeba było na lewo, to w Anglii byśmy mieszkali”. A on milczał.

Po wojnie Gerhard stał się Gerardem. W Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej ani przeszłość w Wehrmachcie, ani w armii generała Andersa nie pomagały, milczenie podszyte było więc troską o rodzinę. Tę Gerard założył z Martą, którą poślubił w Lubomi. Mieli czwórkę dzieci: pierworodnego Franciszka, drugą w kolejności Krystynę, trzecią Urszulę i najmłodszego Jana, spłodzonego kilkanaście lat później.

Ojciec pracował jako maszynista podmiejskich pociągów – Katowice, Opole, Racibórz. Do domu wracał zmęczony. Dziećmi zajmowała się matka.

Krystyna: – Rodzice nauczyli nas pokory. Mama dbała o dom. Ojcu na kolei płacili grosze. Tworzyliśmy skromną rodzinę, cieszyliśmy się z każdej złotówki, którą kapnęli nam dziadek albo ciocia. Jak później wyrzucali Franka z pracy, to lepiej to znosił, bo miał w sobie tę pokorę, że będzie dobrze i jeszcze wszystkim pokaże, na co go stać.

Urszula: – Byliśmy wychowani w głębokiej wierze. Musieliśmy chodzić do kościoła. Obowiązkowo w każdą niedzielę. Poza tym na różańce, drogi krzyżowe, na modlitwy bożonarodzeniowe, wielkanocne, majowe.

Krystyna: – Franek nigdy wiary nie zaniedbał.

Urszula: – Zawdzięczamy to mamie.

Krystyna: – Wiara uczy dobrych uczynków i jeszcze nigdy nikogo na złą drogę nie sprowadziła.

Urszula: – Z wychowania Franek wyniósł też porządność, choć u niego to było posunięte do krnąbrnego

perfekcjonizmu. W domu musiał być błysk. Patrzył, czy szklanki są czyste. Jak zostały smugi od mieszania, których nie dało się wymyć, to pytał: „A co to za filiżanka?”

Krystyna: – I jak jeść, to do samego końca, a nie zostawić na talerzu. Uwielbiał niedzielny obiad: pieczeń w sosie, śląskie kluski, modra kapusta, na deser ciasto drożdżowe z kruszonką.

Smudowie wybudowali dom na sto metrów kwadratowych. Na końcu ulicy, z oknem na ogródek, w którym uprawiali cebulę i ziemniaki. Dalej rozciągały się łąki i tereny Państwowego Gospodarstwa Rolnego. Tu od 12. roku życia Franciszek Smuda zaciągał się w wakacje do roboty.

Urszula: – Droga jechały wozy drabiniaste, brat na nie wskakiwał, przejmował lejce, konie powoził. Obok stała mleczarnia, ale krów nie doił. Orał pole i uczestniczył w sianokosach.

Krystyna: – Dostawał grosze. Kupował sobie zeszyty, książki, czasem nawet jakieś ładne ubranie. Lubił elegancko wyglądać. Rodzice nigdy nie mieli z nim problemów, był grzecznym dzieckiem.

Urszula: – Więcej go w domu nie było, niż był. Jak tylko miał wolny czas, to się nie uczył, tylko piłka pod pachę i z innymi chłopakami grali do nocy na łące między stodołą a torami.

Krystyna: – Raz tylko, przy zachodzącym słońcu, bezmyślnie kopał piłką w ścianę świeżo otynkowanego domu. Murarze sobie poszli, a tu zostały łaciate plamy. Franek dostał od ojca tęgie lanie.

Smuda opowiadał w „Magazynie Sportowym”, że tata podobną karę wymierzył mu, gdy „zapierniczył komuś zabawkę”, bo „jeżeli komuś coś się ukradnie, kogoś oszuka, to wchodzi to w nawyk”<sup>2</sup>.

W Lubomi wiódł intensywne życie towarzyskie. Arkadiusz Staniek, kolega ze szkoły, relacjonował w „Gazecie

Krakowskiej”<sup>3</sup>, że na WF-ie ścierali się klasami – A przeciwno B. Na łąkach zaś toczyła się nieustanna piłkarska bitwa między Grabówką a ich wsią, czasami zdradzaną przez Smudę dla „dzielniczy” Paprotnik, do której geograficznie należał jego dom.

Irena Burek, koleżanka z tamtych lat, wspominała w „Newsweeku”<sup>4</sup>, że miał kowbojski błysk w oku, uganiał się za dziewczynami, nie bał się flirtować, podrywać, stosować końskich zalotów.

W rodzinnej wsi poznał pierwszą poważniejszą miłość, Halinę. W późniejszych latach doczekają się dwójki potomstwa: Grzegorza i Sabiny. Ale nie będą szczęśliwi. Halina została kierowniczką w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Smudę ciągnęło do świata. Lubomia, choć urokliwa, wydawała mu się za ciasna.

Krystyna: – Rwało go w siną dal. Wyjeżdżał już jako młody chłopak. Ale wracał, szanował dom. Mama była w niego tak zapatrzona.

Urszula: – Z siostrą zawsze śmiałyśmy się, że tylko jego dostrzegą. A my na boku.

Krystyna: – Bardzo interesowała się sportem. Nie tylko ze względu na syna kochała piłkę. Jako młoda dziewczyna mieszkała w Lubomi blisko boiska, chodziła na mecze, kibicowała.

Urszula: – Rodzice akceptowali, że Franek poszedł w sport.

Krystyna jest absolwentką Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, Urszula ukończyła Akademię Ekonomiczną w Katowicach, Jan ma dyplom Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. A Franciszek Smuda edukację porzucił jeszcze w raciborskiej budowlance.

Krystyna: – Szkoła mało go interesowała, ale nie był złym uczniem.

Urszula: – Nawet nie wiem, czy zdał maturę.

Krystyna: – Do matury nie dobrnął. Wiem, że uczył się na dziale hydraulicznym. Któregoś razu kazaliśmy mu zrobić coś przy rurach w domu. On na to, że nic nie umie. Zamiast chodzić na zajęcia praktyczne, uciekał na treningi w Unii Racibórz.

Ryszard Majkowski, kolega z Unii Racibórz: – Miałem 14 lat, Franek był o niecałe dwa lata starszy. Kierownik drużyny Jerzy Laska, człowiek zatrudniony również w szkole Smudy, jeździł po regionie i wyluskiwał talenty. Jego zauważył w klasie, mnie na wsi. Zorganizował spotkanie chłopaków w hali sportowej. Bramkami były materace oparte o ścianę, graliśmy trzech na trzech. Ja wziąłem dwóch kolegów, Franek też. Drużyn było co najmniej dziesięć. Po tych testach wybrano kilka osób, w tym nas. Tak znaleźliśmy się w Unii.

Gerard czasami przypominał synowi, żeby pamiętał o zdobyciu fachu. Marta męża popierała. Kiedyś widziała w pierworodnym dziecku kandydata na kominiarza, żeby można było łapać się przy nim za guzik. Ale gdy młody Smuda zaczął przynosić do domu pierwsze pieniądze z kopania piłki, już rzadko pouczali. Powtarzali: „Wszystko, byle nie polityka i bijatyka”.

Najbardziej ukontentowany z takiego obrotu spraw był dziadek, tata ojca. Smuda odziedziczył po nim imię i nazwisko. Dziadek Franciszek brał udział w zwycięskim III powstaniu śląskim. Na starych zdjęciach pozuje w towarzystwie Alojzego Segeta, dowódcy 4 Raciborskiego Pułku Piechoty. Albo Józefa Cieślaka, innego powstańca. Szlachetne rysy twarzy, bystre spojrzenie, szeroki uśmiech, zaczesane do tyłu siwe włosy, szczupła i wysportowana sylwetka. Wnuczki mówią, że najlepiej opisywał go śląski przymiotnik „hermy”, czyli dumny.

Krystyna: – Mieszkał przy ulicy Rybnickiej, naprzeciwko stadionu Unii. Franek był jego ulubionym wnukiem. Dziadek bardzo często brał go do Raciborza.

Urszula: – Brat odziedziczył po nim wiele cech. Był stanowczy. Jak coś powiedział, to wszyscy go słuchali.

Krystyna: – Nikt mu się nie sprzeciwiał. A ten nasz brat naprawdę był jego ulubieńcem, byli do siebie tak podobni. Dziadek chciał, żeby dzieci i wnuki coś umiały, coś osiągnęły, dążyły do wielkiego. Byłby z niego dumny, że z takiej małej Lubomi, z takiej wsi, wyrósł ktoś taki: znany nie tylko w Polsce, ale też na całym świecie. Takiego tu nie mieliśmy.

## SEKTA

- Franiu, koniecznie przynieś jutro worek.
- Worek?
- Dostaniemy cukier.

Jan Kłosek, nowy nabytek Unii Racibórz, były dwukrotny mistrz Polski z Górnikiem Zabrze, upewnił się, że Smuda wsiadł na rower i popedałował w stronę Lubomi.

- A my już tym cukrem Franka się zaopiekujemy - rzucił, rozbawiony, do kilku młodszych kolegów.

Następnego dnia Unia ruszyła w stronę Jeziora Goczałkowickiego na sparing z Cukrownikiem Chybie, klubem sponsorowanym przez lokalny zakład przemysłowy produkujący sacharozę z buraków cukrowych.

- Po meczu Smuda zgłosił się po nagrodę - śmieje się Ryszard Majkowski. - Taki był zadowolony, dumny z siebie. O cukier w PRL-u nie było łatwo. Tylko nie wiedział, że do woreczka nasypaliśmy mu piasku. W drodze powrotnej do Raciborza z autobusu jak zwykle wysiadł wcześniej. W domu rozsypał woreczek, a tam cukru ani widu, ani słychu.

Andreas Rim, autor książek o Unii Racibórz i jej były piłkarz: - O Franku krążyły dowcipne historie. Pochodził ze

wsi, a Racibórz był wtedy ważnym punktem na mapie Polski, drugim największym miastem w województwie opolskim z ponad 60 tysiącami mieszkańców. W dzielnicy obok Zakładu Elektrod Węglowych, gdzie był stadion i klub sportowy, talenty rodziły się jak grzyby po deszczu. Trzon zespołu stanowili ludzie stąd i ich dzieci. Jeśli tylko ktoś się tu osiedlił, nawet z bliskiej okolicy, to już pytali: „A skąd ty jesteś?”. Obcych, choć z tego samego miasta, traktowali z nieufnością.

– Smuda w ich oczach był wieśniakiem?

– Miał ciężko. Między sobą kawałów nie robili, a Franio-wi wykręcali, co tylko umieli, wyśmiewali się, cokolwiek by powiedział. W każdym meczu chciał grać, piłkarze dostawali numery od 1 do 11. Jak ktoś miał numer 12, to był rezerwowym. W szatni koszulki, spodenki i getry rzucało się na podłogę, a gospodarz obiektu oddawał do prania. Kiedyś zauważył, że nie ma numeru 7. Franek wziął siódmkę do domu, tam wyprał. Za wszelką cenę chciał w następnym spotkaniu wystąpić. Myślał tak, choć wiadomo, że to nielogiczne, bo decyzja należała do trenera. Smuda tak wykombinował: „Mam koszulkę, to gram”. Albo w karczmach na złość wkładali mu do teczki widelce, noże, łyżki. On to wymował, rozkładał ręce i dziwił się naiwnie: „Kto mi to dał?”.

Unia Racibórz borykała się z kacem po najlepszym okresie swojej historii. W sezonie 1963/64 zajęła ósme miejsce w I lidze. Smuda podziwiał bohaterów tamtego zespołu: Konrada Klimaszkę, Stefana Michalskiego, Gintera Lazara, Manfreda Urbasa, Jerzego Zaczka, Joachima Finka, Antoniego Hibnera, Reinholda Kitla. Ale w 1965 roku, kiedy dostał się do drużyny juniorów Unii, seniorzy próbowali odnaleźć się po spadku do II ligi.

Ryszard Majkowski: – Smuda był w juniorach ważną postacią, potrzebnym środkowym obrońcą, do końca biliśmy

się z Chemikiem Kędzierzyn-Koźle o mistrzostwo ligi raciborskiej. Ale w dorosłej II lidze nie zagrał.

Andres Rim: – Tam rządziła stara klika, która zdobyła mistrzostwo Polski juniorów w latach 1954 i 1956, a potem wywalczyła awans do I ligi i z niej spadła, i za nic nie chciała dopuścić młodych. Powód? Unia ratowała od wojska. W Raciborzu nie mieliśmy kopalni, ale działał wspomniany Zakład Elektrod Węglowych. Władze ZEW przekazywały, że potrzebują piłkarza do zakładu, a ten wymigiwał się od kamaszy. Rocznie przypadało im dziesięć miejsc, chętnych nie brakowało: synka dyrektora czy sekretarza z partii trzeba było jakoś od koszarów uratować. Ostatecznie na zawodników przypadało mniej miejsc: jedno, dwa, może pięć. Nie dla Franka.

Smuda dostał powołanie na obóz przygotowawczy w Głuchołazach. W hotelowym pokoju mieszkał z Kitlem. Ten zlitował się nad zagubionym chłopakiem. Podpowiadał, jak zachowywać się w grupie, która podejrzliwie przyglądała się każdemu, kto mógłby odebrać starszyźnie etat w Zakładzie Elektrod Węglowych.

Właściwie jedyne wspomnienie Smudy z tamtego okresu zachowało się w książce *Deyna, czyli obcy* Romana Kołtonia<sup>5</sup>. Dotyczy ono wstępu do mocnych alkoholi, który zaczął się, gdy podczas suto zakrapianej imprezy Kiteł, Hibner, Lazar, Klimaszka i Michalski raz po raz wysyłali go do supersamu po wiśniówkę cherry cordial. W drodze powrotnej do domu Smuda zwymiotował w autobusie. Do torby konduktora. Był nim kuzyn od strony rodziny mamy. Gdy po latach przeczytali to Majkowski i jego kolega Józef Siara, nie mogli uwierzyć, że starszyzna z Unii Racibórz w ogóle dopuściła takiego młokosa do swojego hermetycznego grona.

W 1967 roku Smuda skończył 19 lat, nie miał matury, ani myślał o studiach. W głowie była mu tylko piłka, więc

szukał klubu, który pozwoliłby mu wykręcić się od zasadniczej służby wojskowej. Z otwartymi rękoma na kopalniany etat przyjęto go w trzecioligowym GKS-ie Wodzisław Śląski, w kolejnych latach przechrzczonej na Odrę.

Po zimowym zgrupowaniu „Tygodnik Regionalny Nowiny” wymienił Smudę wśród „uzdolnionych juniorów wykazujących zadatki na dobrych piłkarzy”<sup>6</sup>. Na czarno-białych drużynowych zdjęciach młody piłkarz w pasiastej koszulce Odry wyglądał na alienującego się od grupy – stał zazwyczaj z boku, ze skrzyżowanymi na klatce piersiowej rękoma i wzrokiem wbitym w buty. Weselszy był za to na fotografii z pochodu pierwszomajowego, w których maszerowali piłkarze GKS-u.

Dziennikarzom zdarzało się przekreślić jego nazwisko. Niekiedy podpisywali go „Żmuda”. Ale w lokalnej prasie zazwyczaj go chwalili. Po meczu z Orłem Międzyrzecz Smuda występował w gronie tych, którzy „najbardziej się podobali” – obok Bronisława Majcherka i Tadeusza Szyi. Po sparingu z młodzieżową reprezentacją Polski można było przeczytać, że „wykazał zwyżkę formę”<sup>7</sup>. Wyróżniał się też podczas spotkań ze Stilonem Gorzów Wielkopolski i Ślązą Wrocław. Odra trzymała się czołówki grupy zachodniej III ligi. W pierwszym sezonie Smudy przegrała walkę o awans z Piastem Gliwice, w drugim – z Uranią Ruda Śląska.

Koledzy nadali Smudzie pseudonim „Szałot”, od śląskiego słowa oznaczającego salatę, w nawiązaniu do jego wiejskiego pochodzenia. Bronisław Majcherek, wówczas czołowy napastnik GKS-u, po latach opowiadał w „Gazecie Wyborczej”<sup>8</sup>, że podczas dwóch lat wspólnego kopania w Odrze dekadę młodszego kolegę cechowała przerysowana w dziecięcy sposób ambicja, przejawiająca się w nieumiejętności godzenia się z drobnymi porażkami. Gdy trener Eugeniusz Sobesto zorganizował sprawdziany biegowe i na

metę pierwszy dobiegł Majcherek, a drugi Smuda, młody obrońca Odry klócił się z czasem pokazywanym przez stoper. Pół godziny później Sobesto zarządził powtórkę biegu. Smuda pędził co tchu, ale wskazówka sekundomierza pozostała bezlitosna. Pobiegł wolniej niż wcześniej. Doprowadziło go to do furii.

Latem 1970 roku rozgrał w barwach Odry dwa mecze towarzyskie ze Spartakusem Budapeszt i w poszukiwaniu poważniejszych wyzwań zgłosił się do wicemistrza Polski – Ruchu Chorzów. Niebiescy nie byli już legendarną drużyną sprzed II wojny światowej z Ernestem Wilimowskim, Teodorem Peterkiem i Gerardem Wodarzem, słynnymi Trzema Królami. Drużynę rozbili naziści – wymusili grę dla III Rzeszy, wcielili do Wehrmachtu, przemianowali klub na Bismarckhütter Sport Vereinigung 1899 e.V. W zespole nie było też nikogo o statusie porównywalnym do Gerarda Cieślika, reprezentanta Polski z lat 1947–1958 i najlepszego strzelca w historii Ruchu.

Ale przy ulicy Cichej, gdzie mieścił się klub, nie brakowało postaci, które w historii polskiej piłki zapisały się ligowymi rekordami, mistrzostwami kraju, występami w europejskich pucharach i reprezentacji: Joachim Marx, Zygmunt Maszczyk, Antoni Piechniczek, Antoni Nieroba, Eugeniusz Faber, Józef Janduda, Piotr Czaja.

Na ich tle Smuda był piłkarskim żółtodziobem. Usłyszał, że ma trzy miesiące, by udowodnić swoją przydatność. Zamieszkał w hotelu Batory. Obok trenera Tadeusza Forysia – nestora polskiej myśli szkoleniowej, asystenta Józefa Kałuży na mistrzostwach świata w 1938 roku, podporucznika AK i uczestnika powstania warszawskiego, w PRL-u trzykrotnie samodzielnie selekcjoner kadry Biało-Czerwonych.

– Antoni Piechniczek może potwierdzić, że uśmiałyśmy się przy nim co niemiara. Pamiętam jeden numer.

Przyjechaliśmy z Magdeburga z towarzyskiego spotkania z tym enerdowskim klubem. Bramy były już zamknięte i musieliśmy przechodzić przez płot. Trener Foryś zawisł na kolczatce i wołał o pomoc. Musiał poczekać na żonę, ponieważ ja umierałem ze śmiechu, nie byłem w stanie się ruszyć – opowiadał w latach 90. Smuda w „Przeglądzie Sportowym”<sup>9</sup>.

Ruch w tym czasie jeździł dużo po świecie: Irak, Syria, USA. Smudę zabrali na tournée po Gruzji. Z wyjazdu wrócił z przekonaniem, że ekipa Niebieskich to sekta, w której władzę trzymają Piechniczek, Janduda, Faber i Nieroba. Starsi koledzy, bardziej utalentowani i utytułowani, ignorowali Smudę, nie zapraszali go na wyjścia do Deltę. W modnym lokalu dawnego Chorzowa piłkarze przesiadywali w towarzystwie mężczyzn w garniturach, kobiet w sukienkach i cinkciarzy handlujących dolarami, zamawiali parzoną kawę, rzadziej piwko, okazjonalnie śniadanie wiedeńskie: szynka, grzanka, jajko w szklance. Alternatywnie odwiedzali Dom Turysty PTTK, żeby różnąć w skata i remika. Do tych klimatów Smuda także nie był dopuszczany.

Najdziwniejsza była jego relacja z Piechniczkiem. W Gruzji Smuda dwukrotnie zmienił go na prawej obronie. Zapamiętał, że na treningach ćwiczyli czasami w jednej parze, nieszczęśliwie: przy próbie powtórzenia po Piechniczku salta paskudnie skręcił stopę, doznał urazu kostki, opuchlizna długo nie chciała zejść. Był to początek serii kontuzji, które naznaczyły jego karierę. Do historii rodzimego futbolu obaj przeszli przede wszystkim jako selekcjonerzy.

Piechniczka unieśmiertelnił medal MŚ '82 i wyśpiewywany przez Bohdana Łazukę początek piosenki *Tajemnice mundialu*: „Entliczek, pentliczek, co robi Piechniczek, tego nie wie nikt” – nawet jeśli wyłączne prawa do sukcesu w turnieju w Hiszpanii rościł sobie Zbigniew Boniek.

W 1996 roku Piechniczek przejął reprezentację po raz drugi. Smuda wyrastał akurat wtedy na czołowego polskiego trenera w Widzewie Łódź. I czasami chwalił się, że dobrze zna selekcjonera z czasów wspólnej gry dla Ruchu. Błogość tej wizji wyparowała, gdy Piechniczek ze zgrupowania przed meczami z Cyprem i Niemcami wyrzucił pięciu piłkarzy RTS-u – Marka Citkę, Ryszarda Czerwca, Radosława Michalskiego, Macieja Szczęsnego i Pawła Wojtalę – którzy za zgodą Smudy przedłużyli świętowanie po awansie do Ligi Mistrzów i spóźnili się na zbiórkę w Bełchatowie o kilkanaście godzin. Wywiązała się medialna strzelanina. Selekcjoner publicznie powiedział, że nie podałyby ręki trenerowi mistrza kraju.

– Czy nie można jakoś załagodzić pana stosunków z trenerem Smudą? – spytali dziennikarze.

– Pewnie, że można. Tylko ja panom zadam pytanie pomocnicze i nie odbierajcie mnie za bufona. Kto to jest Smuda? – odpowiedział Piechniczek<sup>10</sup>.

Pytanie miało pogardliwy i dyskredytujący charakter. Wzajemną wrogość i niechęć podsycaly kiepskie wyniki reprezentacji przy jednoczesnym fantastycznym trenerskim starciu Smudy w Łodzi. Źródłem poczucia wyższości Piechniczka należało jednak szukać w Ruchu od czasu wakacji 1970 roku.

– Powiem szczerze. Z czasów, kiedy w mojej dość bogatej karierze piłkarskiej na boisku miałem między innymi styczność z Lucjanem Brychczym, Marcelim Strzykalskim czy Józefem Woźniakiem, człowieka o nazwiska Smuda nie pamiętam. W archiwach Ruchu trudno doszukać się takiego piłkarza. Może zagrał w jednym meczu Niebieskich? Nie wiem. Nie kojarzę go w ogóle z Cichej – kąsał Piechniczek<sup>11</sup>.

Smuda nie pozostał mu dłużny. Jego słowa przedrukował „Przegląd Sportowy”<sup>12</sup>.

- On nie potrzebuje podać mi ręki i ja jemu także nie. Piechniczek zaczął czepiać się, że nie byłem znanym piłkarzem. Nie pamięta mnie w ogóle z Ruchu. Na marginesie: w Ruchu akurat nie znalazłem miejsca i dlatego przeszedłem do Stali Mielec. Mnie nie interesuje, czego dokonał Piechniczek jako piłkarz, czy rozegrał dziesięć, sto czy pięćset meczów w Ruchu. W papiery mu nie zaglądam, nie grzebię w życiorysie.